WTOREK Nr 31 13.III.1979 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

SZANSA!

Dla każdego szczepu, drużyny harcerskiej i samorządu szkolnego!

Pierwsza nagroda 20 TYS. ZŁOTYCH

OGŁASZAMY TRADYCYJNY KONKURS:

KIERUNEK–BUDOWA!

Trzeba wykonać co najmniej pięć z siedmiu proponowanych zadań.

Na najbliższej zbiórce rady drużyny lub szczepu, zebraniu samorządu szkolnego podejmijcie decyzję o udziale w konkursie KIERUNEK–BUDOWA. Zgłoszenie natychmiast przyślijcie do naszej redakcji. Szczegóły str. 4

KOPCIUSZEK PRZECIERA OCZY

Już nazwa tego miasta wydaje się zagadkowa. Jakim bowiem zrządzeniem losu można wytłumaczyć fakt, że na południowy zachód od Warszawy, w okolicy pozbawionej większych rzek i zbiorników wodnych pojawił się gród, który ochrzczono mianem tak bardzo związanym z wodą. Zagadka jest jednak tylko pozorna. Łódź nie zawdzięcza swojej nazwy ani kaprysowi historii, ani przekornemu przodkowi – kpiarzowi, który chciał zadrwić ze wszystkich, ani niezwykłej a tajemniczej legendzie. Po prostu, przez długie stulecia okolice miasta słynęły z obfitości wód doskonałej jakości. Nieprzypadkowo więc Stanisław Staszic rozważając, gdzie ulokować duży ośrodek przemysłu sukienniczego zwrócił uwagę na tereny wokół Łodzi. Wody niewielkich rzek płynących przez okolice miasta miały właściwości niezbędne do wytwarzania tkanin o najwyższej jakości. Były też tanim źródłem siły napędowej dla urządzeń fabrycznych.

CIĄG DALSZY NA STR. 2

Fot. T. Biliński

Czy wiesz o tym?

ROBI SIĘ CIASNO!

POLSKA WŚRÓD NAJBARDZIEJ ZALUDNIONYCH KRAJÓW ŚWIATA

NOWY JORK (PAP). W Nowym Jorku opublikowano najnowszy rocznik demograficzny świata. Z danych tam zawartych wynika, że więcej niż połowa spośród 4 124 milionów mieszkańców naszego globu żyje w Azji. Polska zajmuje 23 pozycję wśród 25 najbardziej zaludnionych krajów świata. Są to: Chiny, Indie, ZSRR, USA, Indonezja, Japonia, Brazylia, Bangladesz, Pakistan, Nigeria, Meksyk, RFN, Włochy, Wielka Brytania, Francja, Wietnam, Filipiny, Tajlandia, Turcja, Egipt, Hiszpania, Korea Południowa, Polska, Iran i Birma. **(kż)**

UWAGA, UWAGA! PRZYPOMINAMY!

Już niebawem, 1 kwietnia, kończy się termin nadsyłania prac na konkurs literacki Złota Ostroga. Krótkie opowiadanie, które prześlesz na konkurs ma być portretem osoby, którą lubisz, podziwiasz lub też przeciwnie – nie lubisz i oceniasz negatywnie.

Ma ona być przedstawiona w Twoim opowiadaniu w charakterystycznym dla niej działaniu nie tylko w samym opisie. Na laureatów czekają Ostrogi, nagrody rzeczowe, sława i honoraria. Prace nagrodzone będą bowiem drukowane w „Świecie Młodych", w zbiorze w postaci książkowej, a także będą wysłane do Bułgarii na Międzynarodowe Zgromadzenie Dzieci „Sztandar Pokoju" i drukowane tam w specjalnym almanachu literackim.

Weź udział w konkursie! Na Twoją pracę czekamy do dnia 1 kwietnia (ważna data stempla pocztowego). Pracę podpisz imieniem, nazwiskiem, podaj wiek i dokładny adres. Wyślij ją pod adresem redakcji „Świata Młodych" ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

OLIMPIJCZYCY CZYLI... PAPIEREK I ZŁOTO

Piotrek Dutkiewicz, Szymon Sławiński, Maciek Chruściel i Michał Kozarzewski są uczniami klasy VIIIa Szkoły Podstawowej nr 41 w Warszawie. Urodzili się i mieszkają w jednej dzielnicy, od pierwszej klasy są razem, ale trudno im powiedzieć czy są przyjaciółmi. Od większości swoich kolegów właściwie niczym się nie różnią. Tyle tylko, że mają trochę zainteresowań, że biorą udział w kilku olimpiadach, że prawie nie wiedzą, co to znaczy mieć wolny czas.

CIĄG DALSZY NA STR. 5

Fot. W. Giers

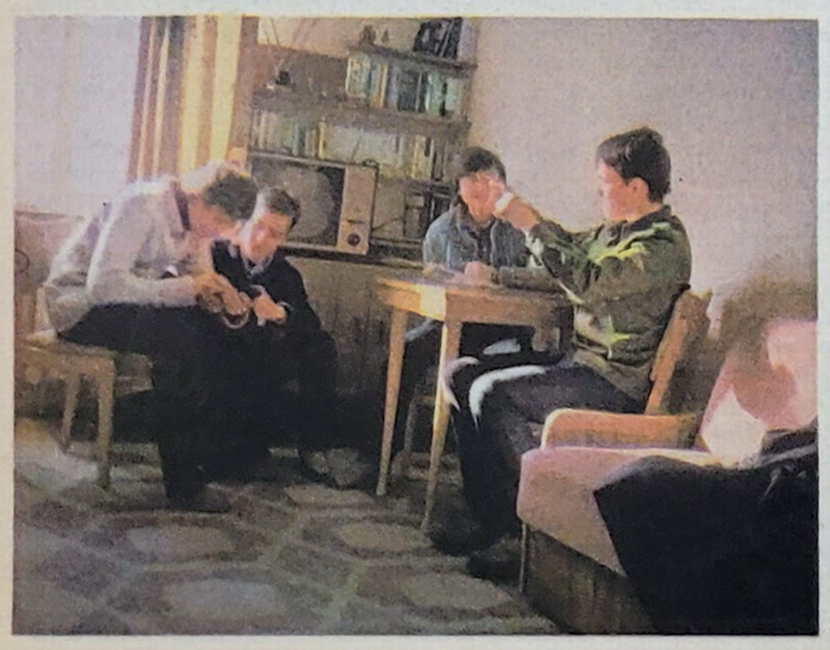

Małpce z monachijskiego ZOO trudno jest znaleźć towarzysza do zabawy w śnieżki. Nawet pingwiny przyzwyczajone do mrozów i śniegu nie są zachwycone tą propozycją...

Fot. CAF

PO TRZECH LATACH – STACJA POLARNA DRYFUJĄCA NA KRZE LODOWEJ ZAKOŃCZYŁA DZIAŁALNOŚĆ

MOSKWA (PAP). Niedawno zakończyła działalność radziecka stacja polarna „Biegun Północny 23", umieszczona na dużej, dryfującej krze lodowej. W ciągu trzech lat przebyła wraz z dryfującym polem lodowym długą trasę z centralnych rejonów Oceanu Lodowatego aż do południowych wybrzeży Grenlandii. Załoga stacji prowadziła badania i obserwacje meteorologiczne i oceanograficzne. Uzyskane informacje służyły do opracowywania prognoz meteorologicznych. Stację zlikwidowano, gdyż zbliżała się do cieplejszych wód, stwarzających groźbę szybkiego pękania kry lodowej. **(kż)**

CO DALEJ ÓSMA KLASO

NIE WIESZ? ZADZWOŃ!

TELEFON 214-706 dziś czynny!

Jak w każdy wtorek czekamy na zgłoszenia od tych, którzy jeszcze nie podjęli decyzji wyboru szkoły średniej. Postaramy się odpowiedzieć na wszystkie Wasze pytania. Nasz telefon czynny jest w godzinach od 14.00 do 17.00, w każdy wtorek i czwartek.

Dziś przedstawiamy

ZULUSI – czarna siła RPA

Zuluski pasterz, Chelmsford Ntanzi, pasie bydło na polu, gdzie sto lat temu jego wojowniczy przodkowie zadali armii brytyjskiej klęskę. Chłopiec nosi imię po lordzie Chelmsfordzie, brytyjskim generale, który dowodził wojskami wysłanymi w celu zniszczenia potężnego królestwa Zulusów, stojącego na drodze do brytyjskiego panowania na południu Afryki. 22 stycznia 1879 roku na tym skalistym terenie położonym u podnóża wzgórz we wschodnio-południowej Afryce doszło do krwawej bitwy, w której armia „tubylcza" zadała pod Isandhlwana największą w historii klęskę armii potężnego mocarstwa kolonialnego.

Bitwa pod Isandhlwana nadal jest przedmiotem dumy Zulusów. 16-letni pasterz wskazuje na miejsce, gdzie jego czcigodny dziadek został zraniony w lewe ramię. Zna on również wędrówkę swego przodka do rzeki Buffalo, gdzie dziadek zmarł w cztery dni później.

Zaledwie 6 miesięcy po bitwie pod Isandhlwana Zulusi zostali rozbici przez lorda Chelmsforda w bitwie pod Ulundi, a ich potężny król Cetshwaya wygnany. Jedność Zulusów została rozbita. Wybuchły walki wewnątrzplemienne, w wyniku czego holenderscy osadnicy i Brytyjczycy przejęli olbrzymie połacie terytorium Zulusów. Jednakże klęska tego wielkiego wojowniczego plemienia nie oznaczała kresu jego walki. Chociaż nie ma już wojowniczych oddziałów, Zulusi, zdaniem wielu obserwatorów, uznawani są za najsilniejszą, potencjalną czarną siłę polityczną w RPA. Pod przewodnictwem szefa plemiennego, Gadsha Buthelezi, przekształcili swój „ruch kulturalny" INKATHA w potężną i zdyscyplinowaną organizację polityczną zrzeszającą ponad 100 tys. członków. Ich licząca 5,5 miliona społeczność jest największym plemieniem wśród 19-milionowej czarnej ludności RPA.

INKATHA zdołał już doprowadzić do luźnego sojuszu społeczności kolorowej i indyjskiej, a Buthelezi zaapelował do innych grup etnicznych, aby przyłączyły się do tego sojuszu. Zażądał on również, aby biali zasiedli przy jednym stole z czarnymi i kolorowymi w celu wypracowania planu dotyczącego wielorasowej przyszłości Republiki Południowej Afryki. Dla milionów Zulusów, którzy uznają go za swojego przywódcę, Buthelezi jest następcą wielkich królów, dumnych wojowników, którzy mieli na tyle odwagi, aby stawić czoła jednej z największych potęg kolonialnych w historii ludzkości. Zniesienie apartheidu, równe prawa polityczne i ekonomiczne dla wszystkich mieszkańców RPA – oto cel współczesnej walki Zulusów. (b)

KOPCIUSZEK PRZECIERA OCZY

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Woda stała się szansą Łodzi. I wykorzystano ją tak bezwzględnie, że w nieco ponad sto lat po decyzji Staszica woda, a raczej jej stały niedobór stał się łódzkim problemem numer jeden. Źródła miejscowe wyczerpały się około roku 1955. Zaradzono kłopotowi, budując na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych rurociąg transportujący wodę z Pilicy. Rychło jednak okazało się, że to nie wystarczy. Najbardziej narzekali dyrektorzy fabryk włókienniczych. Wydajność źródeł, z których korzystał przemysł zmniejszyła się w ciągu kilku lat prawie o 50 procent. Sytuację poprawiło ułożenie rurociągu łączącego Łódź z Zalewem Sulejowskim. Szczególne powody do radości mieli mieszkańcy miasta. Ruszyła wreszcie sprawa doprowadzenia bieżącej wody do mieszkań. A zaniedbania były tu szczególnie duże. Dość powiedzieć, że jeszcze w roku 1970 prawie co trzecie łódzkie mieszkanie nie miało bieżącej wody. Stopniowo ten stan rzeczy ulega zmianie – przewiduje się, że do roku 1980 wodę dostarczać się będzie prawie do 90 procent domów. Woda przestaje być wstydliwym tematem w Łodzi.

To zdarzenie miało podobno miejsce w czasie premiery „Ziemi Obiecanej" w Łodzi. Andrzej Wajda zadał kilku rodowitym mieszkańcom miasta następujące pytanie: która ze scen filmu tak bardzo łódzka, typowa dla naszych wyobrażeń o tym mieście, nie została nakręcona w Łodzi? Nikomu nie udało się trafnie wskazać na odpowiedni fragment filmu. Odpowiedź reżysera zaskoczyła wszystkich. Chodziło bowiem o sceny, na których pokazano panoramę XIX-wiecznej Łodzi. Wajda przyznał, że chcąc pozostać wiernym wizerunkowi miasta sprzed stu lat nie nakręcił tych fragmentów w Łodzi. Dzisiejsza Łódź nie przypomina już tamtejszej z ubiegłego wieku. W poszukiwaniu odpowiedniego pleneru musiał wyjechać na Śląsk.

Tę anegdotę czuje się w obowiązku przytoczyć każdy łodzianin zaraz na wstępie rozmowy o zmianach i przyszłości rodzinnego miasta. Zacytowano ją także na pierwszych stronach interesującej książki o perspektywach rozwoju Łodzi do roku 2000. Musi zastanawiać skwapliwość, z jaką łodzianie niemal na każdym kroku przypominają, że ich miasto także unowocześnia się, przeobraża. Być może jest to reakcja na dość rozpowszechnione stereotypowe o nim myślenie: Łódź – „miasto włókienników", „kulturalna prowincja", „kominogród" żyjący bez wyobraźni. Tkwi w stałym przypominaniu zagadki Wajdy także próba przełamania pewnych cech, które zwykło się uważać za typowe dla mieszkańców Łodzi. Mam tu na myśli już od dawna przypisywaną im rezerwę, z jaką odnoszą się do zmian, zadowolenia z tego, co jest. Źródło tych cech przywykło się tłumaczyć dawną niepewnością losu łódzkich robotników, którym z dnia na dzień mogła grozić utrata pracy, co równało się zepchnięciu na margines życia, sprowadzało nędzę na całą rodzinę. Nic dziwnego, że w takich warunkach rodził się odruch zadowolenia z tego, co się ma, niechęć do nowinek, bo np. nowe, wydajniejsze maszyny zastosowane przez właściciela fabryki powodowały zwolnienie z pracy zbędnych robotników.

Trzeba także wspomnieć o pewnym kompleksie, który narastał w łodzianach w latach powojennych. W ciągu kilkunastu lat Łódź została zdystansowana przez inne miasta naszego kraju, w których rozwój następował szybciej. Łódź, niezbyt zniszczona w czasie wojny, nie była tym ośrodkiem miejskim i regionem przemysłowym, na którym koncentrowała się uwaga władz centralnych. Włókiennictwo było oczywiście ważną gałęzią gospodarki, ale gdzie indziej potrzeby były większe; kraj potrzebował przede wszystkim stali, samochodów, węgla, miedzi, siarki, statków itp.

Łódź pozostawała w cieniu, ale błędem byłoby sądzić, że nic się w tym mieście nie robiło. Powstał silny ośrodek akademicki, przybyło kilka placówek kulturalnych, zakładów przemysłowych nie związanych z włókiennictwem. Przebudzenie przyniósł początek lat siedemdziesiątych. Na Łódź patrzono innymi oczyma. Miasto dostało duże kwoty na budownictwo mieszkaniowe, na modernizację fabryk włókienniczych. W wielu z nich pracowały maszyny liczące sobie 70 i więcej lat. Nie chcę zanudzać liczbami, dość powiedzieć, że szereg zakładów przeniosło się do nowych hal zbudowanych w dzielnicach przemysłowych, z rozmachem przystąpiono do wznoszenia dużych osiedli mieszkaniowych. O Łodzi zaczęto myśleć jako o mieście, które ma szansę wyjścia z cienia.

Na Piotrkowskiej – głównej ulicy Łodzi – po staremu; ale na obrzeżach miasta nowe dzielnice wyrastają jak grzyby po deszczu

Rozbudzona potrzeba zmian zwróciła uwagę na szereg niedostrzeganych czy pomijanych do tej pory kłopotów. Być może panorama miasta nie zmieniła się aż tak bardzo, wystarczy jednak wejść na podwórka łódzkich czynszówek, aby nagle znaleźć się w XIX-wiecznej scenerii. Gruntownej przebudowy – stopniowo już rozpoczynanej – wymaga centrum. Układ komunikacyjny jest całkowicie przestarzały i nie jest w stanie podołać obciążeniom, jakie wynikają z rozwoju motoryzacji, konieczności dowożenia tysięcy ludzi do pracy w odległych dzielnicach przemysłowych. Niewystarczające jest wyposażenie miasta w odpowiednią liczbę placówek kulturalnych, hoteli, restauracji, sal konferencyjnych, obiektów wystawowych itp.

Właśnie w tej dziedzinie potrzeby są największe. Już od dłuższego czasu zwracano uwagę dlaczego Łódź, skoro jest tak ważnym ośrodkiem przemysłu włókienniczego, nie stała się jednocześnie dużym, może nawet o europejskim zasięgu centrum handlu wyrobami włókienniczymi. Wytypowano już nawet tereny, na których mają stanąć pawilony targowe. Niestety, projekt ten jeszcze przez kilka lat pozostanie na papierze. Powodem jest właśnie brak hoteli, sal konferencyjnych, czyli wszystkiego, co jest nieodzowne, aby na przyzwoitym poziomie organizować międzynarodowe spotkania handlowców.

Łódź zaczyna budzić się do życia jako ośrodek kulturalny. Kilka spektakli przygotowanych w tamtejszych teatrach zyskało przychylną ocenę w prasie ogólnopolskiej, zwróciło uwagę na łódzkie sceny. Jeszcze kilka lat temu było to prawie nie do pomyślenia. Władze miasta pragną także wykorzystać atut, jakim jest istnienie w mieście silnego ośrodka sztuki filmowej, tworzą go: Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna, Wytwórnia Filmów Fabularnych, Wytwórnia Filmów Oświatowych, Wytwórnia Małych Form Filmowych „Se-Ma-For" oraz Zakłady Wytwórcze Kopii Filmowych. Myśli się o stworzeniu formy organizacyjnej, która umożliwiłaby konfrontację dzieł filmowych, dawałaby możliwość wymiany poglądów na temat przyszłości naszego filmu. Do tej pory w Łodzi nie odbywały się takie imprezy, a już na żart zakrawa fakt, że autorzy pracujący dla Wytwórni Filmów Oświatowych na przeglądy swoich filmów jeżdżą do Zakopanego.

15 lat temu studentów z kilkunastu ośrodków akademickich w kraju poproszono o ułożenie listy najbardziej atrakcyjnych miast Polski. Łódź znalazła się na 13 miejscu. Studenci byli jednak grzeczni i w większości przyznali, że nie uważają Łodzi za miasto prowincjonalne. Dziś władze miasta chwytają się już ankietowych metod, aby poprawić swoje samopoczucie. W Łodzi robi się dużo, aby nadać temu miastu rangę odpowiednią do jego znaczenia gospodarczego. Kopciuszek przeciera oczy.

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI
Fot. T. Biliński

Nadawca spadł z latawca

„...Podoba mi się jeden chłopak, ale on chodzi z dziewczyną z innej klasy. Jestem zazdrosna, gdy widzę go z tamtą. Ona w ogóle do niego nie pasuje. On jest ładny, a ona brzydka i niemodnie się ubiera. On naprawdę bardziej pasowałby do mnie... Wydrukujcie ten list. Ona czyta „Świat Młodych", może po przeczytaniu zrozumie, że powinna ustąpić..." Pod listem podpis niezwykle oryginalny „Czytelniczka".

Prośba „Czytelniczki" nie trąci szlachetnością, z tego też powodu nie najchętniej byśmy się w takowe podjazdy angażowali. W podobnym tonie utrzymany jest również list następny. „Czy to sprawiedliwe? Gośka odpowiadała przy tablicy gorzej niż ja i otrzymała ocenę dobrą. Ja jej cały czas podpowiadałam. Pan od fizyki dobrze to widział, a postawił mi dwóję. A przecież, żeby podpowiedzieć, musiałam umieć. Wydrukujcie mój list w sobotnim numerze. Niech się pan zawstydzi..." I tu na koniec równie dokładny podpis: „Odbiorca Kwiat, nadawca Pąk. Proszę dostarczyć do własnych rąk". Wyobrażamy sobie, jak bardzo wstydziłby się pan od fizyki, gdyby przeczytał list swojej uczennicy. Oczywiście wstydziłby się z zupełnie innego powodu, niż przypuszcza pokrzywdzony „Pąk". Albo taki list: „Napiszcie szybko, jaki mam wybrać zawód, bo mam mało czasu na podjęcie decyzji..." Adresu zwrotnego oczywiście brak, za to podpis, że hej: „H_2O – zgadnij kto". Można by zgadywać, tylko po co.

Z kolei czytelnik ze Szczecina (miejscowość wyjątkowo wyraźnie widoczna na stemplu pocztowym) obiecuje, że jeżeli spełnimy jego warunki, to ich drużyna piłkarska nazwie się „Świat Młodych". Oto cytat z listu: „Jak nam już prześlesz piłkę, to podamy ci rozmiary trampek, koszulki i spodenki możesz nadesłać na wiosnę, bo teraz i tak za zimno. Odpowiedz w gazecie, czy przyjmujesz nasze warunki". List napisany ładnym pismem, a podpis anonimowy, ale rymowany: „Nadawca poszedł do krawca, a jak od krawca wróci, to adres podrzuci". Nie podrzucił. A też i nie miał po co się spieszyć, bowiem redakcja nie jest „dobrym wujaszkiem" robiącym prezenty na zawołanie i jeżeli cokolwiek wysyła czytelnikom, to jedynie w formie nagród za zwycięstwo w konkursach.

Listów anonimowych mimo wielokrotnych zapewnień o dyskrecji otrzymujemy sporo. Niemała ich liczba utrzymana jest w tonie jak wyżej. Autorzy silą się na dowcipne podpisy właśnie typu „nadawca spadł z latawca" itp. Oczywiście bez żalu wrzucamy je do kosza na makulaturę. Dosyć często przychodzą jednak takie jak ten: ...Moi rodzice kłócą się ze sobą jak długo pamiętam. Ojciec pije i po pijanemu maltretuje matkę. Kiedyś stanęłam w jej obronie. Uderzył mnie w twarz i od tamtej pory bije mnie ciągle po twarzy. Boję się ojca. Pomóżcie! Podpisane: „Marta", adresu brak.

Z kolei stroskana „Karen" ma ciężkie życie w szkole, bowiem jedna z nauczycielek mści się na niej za winy dorosłych. „Olga" jest półsierotą. Jej matka, pijaczka, awanturuje się z sąsiadami i nie dba o dzieci... „Anka" miała średnią ocen dobrą, ale nie przyjęto jej do technikum, bo jest ze wsi...

Niestety, nie znając adresów, nie jesteśmy w stanie pomóc ani „Marcie", „Karen", „Oldze", „Ance", ani autorom dziesiątków anonimów, chociaż w wielu trudnych sprawach moglibyśmy interweniować.

WIESŁAWA MROCZEK

Grać kiedyś w dorosłej orkiestrze

W Zbiorczej Szkole Gminnej w Starym Zamościu pod koniec 1977 roku na ściennej gazetce ukazało się ogłoszenie takiej mniej więcej treści: „W szkole powstanie orkiestra smyczkowa. Zapisy na dużej przerwie. Egzamin wstępny u pana Ryszarda Zańko – członka orkiestry im. Karola Namysłowskiego...”

Po południu, o szesnastej budynek szkolny jest już niemal pusty. Ostatni autobus, który kursuje pomiędzy okolicznymi wsiami a Starym Zamościem odszedł już dobrą godzinę temu. Tylko wieczńie zajęta pani woźna krząta się jeszcze, ścierając wilgotną szmatką okienne parapety. Gdzieś z drugiego piętra dobiega dźwięk skrzypiec. Układa się w melodię oberka. Nagle w muzykę wkrada się fałszywy ton. Pani woźna przystaje, unosi głowę i ściska powieki jakby chciała dopomóc w znalezieniu właściwej nuty. Skrzypce zaczynają od nowa, potem jeszcze raz i jeszcze, aż wreszcie niesforny palec przyciska strunę w odpowiednim miejscu. Woźna stoi jeszcze chwilę, potem z zadowoleniem kiwa głową i wraca do przerwanej pracy.

Janek, sprawca niepokoju pani woźnej, chodzi do szóstej klasy. Od roku jest członkiem szkolnej orkiestry „Młodzi Namysłowiacy”. Kiedy w szkole pojawiło się ogłoszenie o orkiestrze, zgłosił się bez namysłu.

Przed czterema laty do jego brata wpadł kolega, który wracając z ogniska muzycznego w Zamościu przyniósł ze sobą gitarę. Wtedy Janek tak długo go nudził, aż tamten obiecał, że da Jankowi parę lekcji gry. I dał. Widocznie chciał się od niego jak najszybciej odczepić, bo zamiast stopniowego wprowadzania w tajniki gry przyłożył mu od razu taką dawkę, że z powodu spuchniętych palców Janek przez tydzień nic nie mógł utrzymać w rękach. Po roku kolega wyjechał i Janek pozostał bez nauczyciela. Więc kiedy przeczytał to ogłoszenie, pomyślał, że jest to szansa.

Artur z klasy VII też przeczytał ogłoszenie i też chciał spróbować. Na egzaminie wystukał prawidłowo rytm, dość czysto zaśpiewał piosenkę i rozpoczął pierwsze próby u kierownika orkiestry, pana Zańki.

W taki czy podobny sposób, z zainteresowań lub z przypadku, w orkiestrze znalazło się 40 osób. Właściwie słowo o r k i e s t r a było trochę na wyrost, bo tak się dziwnie składa, że orkiestra kojarzy się z graniem, natomiast oni mieli tyle wspólnego z graniem, że nazywali siebie orkiestrą. Nie było instrumentów, nie było partytur, zresztą i po co, skoro nikt ich nie umiałby przeczytać, nie było nawet sali do prób. No i zaczęło się. Najpierw uderzeniowa dawka teorii. Z 40 osób zostało 30. Potem nauka trzymania skrzypiec, pożyczonych z Towarzystwa Muzycznego w Zamościu. Z 30 osób zostało 25. Po próbach wyciągnięcia czystego tonu już tylko 20, a po pierwszych gamach i pasażach – 15 osób. I tych 15 dziewcząt i chłopców nazwało się „Młodymi Namysłowiakami”, ćwiczyło półtorej godziny dziennie. 8 marca w ub.r. orkiestra dała pierwszy koncert.

Po tym koncercie chyba trochę uwierzyli w siebie, bo przedtem to właściwie były same kłopoty. Próby odbywały się w gabinecie dyrektora. Skrzypce pożyczone, próby po południu; do domów wracali późnym wieczorem. Utwory, dzisiaj proste, wówczas wydawały się nieosiągalną wirtuozerią. Nazajutrz po występie SKR zakupił skrzypce. Dla każdego oddzielne, nowe i na wymiar. Szkoła wygospodarowała pomieszczenie i to chyba było najważniejsze. Pan Mazurek, uczeń Karola Namysłowskiego, osobiście pogratulował im postępów.

– Naszym marzeniem – mówi Artur – *jest wspólny koncert z prawdziwą orkiestrą im. Karola Namysłowskiego. Właśnie zbliża się 100 rocznica jej powstania. Do tego czasu musimy osiągnąć taki poziom, aby nie wypaść z rytmu oberka czy mazurka podczas wspólnego koncertu. Czeka nas sporo pracy, bo to nie to samo, co założyć taśmę do magnetofonu i wszyscy są zadowoleni, o nie...*

KRZYSZTOF NIEDŹWIECKI
Fot. **autora**

Winiarska Góra koło Iwonicza. Ogólnopolskie igrzyska młodzieży – 1979, konkurencja – narciarstwo klasyczne. Ustawiony obok dwóch kolorowych chorągiewek chronometr odmierza czas z dokładnością do jednej setnej sekundy. Z jego elektronowego wnętrza dokładnie co minutę wydobywa się ostry dźwięk. Na ten znak, jedna po drugiej, ruszają na trasę kolejne zawodniczki. Przed każdą z nich 3 km niemal samotnego biegu; doganiania słabnących rywalek lub ustępowania szlaku zbliżającym się z tyłu. Trudna, ale zarazem cudowna to dyscyplina; szlachetne są reguły narciarskiej gry: mocniejszy ma pierwszeństwo. Ambicja, wola walki, są nagradzane jak mało gdzie. Jesteś lepszy – tobie na hasło „tor” ustępują drogi.

Czy Anka Piczura wykorzysta swoją szansę?

TO DOPIERO POCZĄTEK...

Anka Piczura stoi tuż obok sędziego startowego. Nerwowo poprawia czapeczkę, niespokojnie przebiera wąziutkimi „deskami”, sprawdza skuteczność nałożonych smarów. Starszy pan coś do niej mówi, zapewne chce uspokoić dziewczynę. Pomaga zresztą wszystkim biegaczkom. To ich pierwsze w życiu poważne zawody! Ale Anka go nie słyszy, bezwiednie przytakuje głową, wciąż patrzy w wolno przesuwające się wskazówki zegara. Jeszcze dwadzieścia sekund, jeszcze piętnaście, dziesięć, pięć, zero! Równo z dzwonkiem odepchnęła się mocno kijkami. Ruszyła...

Trochę dziwnie zaczęła się jej przygoda z biegówkami. Pamięta, że była wówczas w trzeciej klasie szkoły w Cichym Górnym. Najstarsza siostra, Staszka, należała do Sekcji Narciarskiej Polskiego Towarzystwa Turystycznego. Przynosiła więc do domu pociągnięte lśniącą farbą biegówki. Anka nieraz spozierała na nie z zazdrością, próbowała nawet przymierzyć, ale Staszka strzegła swego skarbu jak oka w głowie. Nie pozwalała nawet dotknąć. Jeździła na zawody do Chochołowa, do Dzianisza, czasami i za Czarny Dunajec, do Witowa. Anka siedziała wtedy w domu i do późnego wieczora cierpliwie czekała na siostrę. Pierwsza musiała wiedzieć jak jej poszło! W zasadzie tylko ona i brat Józef interesowali się wynikami Staszki. Wiecznie zapracowany ojciec nigdy nie miał na to czasu. Mama również myślała raczej o napełnianiu żołądków swoich dwunastu pociech.

Przyszedł moment, że i Anka dostała prawdziwe narty. Były nawet ładniejsze od „desek” Staszki. Oczywiście jeździła na nich tylko wówczas, gdy nie musiała pilnować kilkunastomiesięcznej Zosi. To, że biegówki były własnością szkoły, nie miało żadnego znaczenia.

Pan Zenon Michalik, opiekun grupy narciarskiej z Cichego Górnego i okolicznych wiosek, dając dziewczynie sprzęt, dobrze wiedział co robi. Doświadczone oko trenera w mig zauważyło, że z tej ledwie odrosłej od ziemi dziewczyny może wyrosnąć niezła sportsmenka. I chyba się nie pomylił...

Na pierwszym kilometrze trasy wyprzedziła dwie konkurentki. W stosunku do nich nadrobiła wiele. Ale zdawała sobie sprawę, że to nie były groźne przeciwniczki. Te najlepsze nie dają się przecież doścignąć tak prędko. Jeżeli w ogóle pozwolą na coś podobnego. Mocniej zacisnęła kijki, energiczniej zaczęła wdrapywać się na stromy podbieg. Tak energicznie, że momentami brakowało tchu, a serce wprost rozsadzało płuca. Ale to najgorsze miało dopiero nadejść...

Początkowo bardzo imponowały jej nowe zajęcia, które pan Michalik nazywał treningami. Z czasem przyzwyczaiła się do nich, polubiła. Pana Michalika także. Zawsze potrafił wymyślić ciekawą zabawę, nigdy nie krzyczał ani nie wyśmiewał. Ale wymagający był jak mało kto. Najbardziej gniewał się na spóźnialskich. Z roku na rok zwiększał ilość tygodniowo pokonywanych kilometrów. W treningowym harmonogramie zabrakło w końcu miejsca na zabawy. Ulubione książki Anki przykryła warstewka kurzu.

Anka na pierwsze w życiu zawody pojechała do Nowego Bystrego. Całą noc nie spała przed tym wyjazdem. Nie, nie myślała o sukcesie, a o podium nawet nie marzyła. Pragnęła tylko nie być ostatnia. Niespodziewanie dla siebie zajęła... trzecią lokatę. A do pierwszego miejsca zabrakło dosłownie kilku sekund. Oj, żeby tak wiedziała o tych sekundach trochę wcześniej...

Sama nie zdawała sobie sprawy jak to się stało. Kiedy na niewielkim zjeździe zdążyła trochę odpocząć, nagle wyleciała z trasy. Szybko się poderwała, ale ból nogi nie chciał ustąpić. Nie przerywając biegu postanowiła rozmasować nieszczęsne kolano i wówczas nastąpił drugi upadek. Wprawdzie podniosła się bez chwili zwłoki, ale i tak wiedziała, że straciła kilkanaście sekund. Przez moment pomyślała nawet o przerwaniu biegu, o wycofaniu się. I ta myśl ją przeraziła. Jak ocenią to później koleżanki? Józka też powtarzała zawsze, że „dokąd mety nie miniesz, dotąd musisz gnać”. I zapomniała o bólu, nawet zmęczenie przestało mocno dokuczać...

Trener Zenon Michalik nie pomylił się. Anka wypełniała każde jego polecenie. Niestraszny dla niej ani mróz, ani deszcz; pierwsza zjawia się na zajęciach, ostatnia je opuszcza. Nic więc dziwnego, że dziewczyna jest chlubą szkoły. Zdobywa punkty w narciarskiej lidze i dyplomy na innych imprezach. Doskonałe warunki fizyczne i rzadko spotykany upór czynią ją faworytką wszystkich lokalnych zawodów. Ale trener marzy, aby Anka wygrywała nie tylko z miejscowymi rywalkami. Namawia ją do zmiany szkoły. Doświadczenie mówi mu, że tylko w zakopiańskiej, tej sportowej, Piczurówna znajdzie odpowiednie warunki do dalszego rozwoju swojego talentu. Anka otrzymuje zgodę rodziców. Od pięciu miesięcy trenuje pod okiem samej Weroniki Budny, byłej ośmiokrotnej mistrzyni kraju. Czy wykorzysta daną jej szansę?...

Ponownie minęła dwie rywalki. Nie jest chyba najgorzej. Świetnie posmarowane narty nie lepią się do śniegu. Wreszcie kończy się las, a zaczyna ostatni odcinek trasy, jeszcze tylko 300 metrów łagodnego zjazdu. Mocno pochyla się do przodu, nadal z całą energią pracuje kijkami. I tak mija linię mety. Ktoś podsuwa jej kubek z gorącą herbatą, ktoś inny nakrywa kocem. Dziewczyna teraz dopiero czuje, jak jest potwornie zmęczona. Nie docierają do niej ani gratulacje, ani owacyjne okrzyki zgromadzonych dookoła kibiców, ani nawet głos spikera obwieszczający po raz wtóry, że Anna Piczura z Zakopanego osiągnęła najlepszy czas.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI
Fot. **J. Jaruga**

Ministerstwo Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych
Redakcja „Świata Młodych"
przy współudziale
Głównej Kwatery Związku Harcerstwa Polskiego

OGŁASZAJĄ KONKURS

KIERUNEK BUDOWA

W konkursie mogą wziąć udział drużyny i szczepy harcerskie oraz samorządy szkolne ze szkół podstawowych. Warunek: nadesłanie zgłoszenia udziału w konkursie i wykonanie co najmniej pięciu zadań z podanego zestawu. Oprócz tego każdy zespół może wymyślić coś zupełnie nowego. Dodatkowe zadania będą brane pod uwagę przez jury przy końcowej ocenie zespołów.

NAJWAŻNIEJSZE TERMINY

● **Do dnia 24 marca br.** należy przysłać zgłoszenie udziału w konkursie. Adres: Redakcja „Świata Młodych", ul. Mokotowska 24, 00–561 Warszawa.

Zgłoszenie powinno zawierać: 1. nazwę drużyny, szczepu, 2. dokładny adres szkoły z kodem, numerem telefonu, 3. imię i nazwisko drużynowego, szczepowego lub opiekuna samorządu, 4. krótki plan tego, co i kiedy zamierzacie zrobić w czasie konkursu.

● **Do dnia 2 kwietnia br.** należy nadesłać 30 najlepszych – Waszym zdaniem – plakatów (zadanie nr 4).

● **Konkurs kończy się 24 kwietnia br.** Do tego dnia – decyduje data stempla pocztowego – należy nadesłać meldunek końcowy. Powinien on zawierać dokładny opis wszystkiego, co zostało w czasie konkursu zrobione, wyszczególnienie imprez, informacje o tym ilu i jacy uczniowie brali w nich udział. Oprócz tego możecie dołączyć zdjęcia, opisy ciekawych imprez itp. Forma końcowego meldunku będzie dodatkowo punktowana. Razem z meldunkiem końcowym należy nadesłać wszystkie rozwiązania quizu o budownictwie, który przeprowadzicie w szkole (zadanie 5).

NAGRODY

Wszystkie zespoły ocenione zostaną na podstawie nadesłanych meldunków. Pięcioosobowe delegacje z najlepszych szkół spotkają się na imprezie finałowej, która odbędzie się na początku maja w Chełmie. Tam zostaną wręczone nagrody ufundowane przez Ministerstwo Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych:

I miejsce 20 000 zł
II miejsce 15 000 zł
III miejsce 10 000 zł
IV – X miejsce po 6000 zł.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród.

NAGRODY SPECJALNE

● Dla autorów najlepszych plakatów o budownictwie (zadanie 4) przewidziano 3 indywidualne nagrody po 1 000 zł.

● Wśród tych, którzy nadeślą do naszej redakcji rozwiązanie quizu o budownictwie rozlosowane zostaną trzy indywidualne nagrody po 1 000 zł oraz znaczki, plakietki, proporczyki różnych firm budowlanych.

ZADANIA KONKURSU

1. W SZKOLE BUDOWLANEJ

Zorganizujcie wycieczkę do najbliższej szkoły budowlanej. Dowiedzcie się dokładnie jakie wymagania stawia się kandydatom, jakie trzeba mieć uzdolnienia, jaki jest program nauki. Zbierzcie informacje o zapotrzebowaniu na absolwentów tej szkoły, gdzie podejmują pracę, jakie obejmują stanowiska, jakie wynagrodzenie otrzymują. Zainteresujcie się także, czy szkoła dysponuje internatem, ile jest miejsc, jakie stypendia można otrzymać, co można robić po lekcjach. Zebrane informacje umieśćcie w „centrum informacji" (zadanie 3), aby wszyscy mogli z nich korzystać.

Zaproście także na spotkanie do Waszej szkoły dyrektora, nauczycieli czy uczniów ze szkoły budowlanej. Wtedy uczniowie starszych klas będą mogli z „pierwszej ręki" dowiedzieć się o tym, jak przebiega nauka w szkole budowlanej.

2. JAK PRACUJĄ BUDOWLANI

Nawiążcie kontakt z organizacją ZSMP na najbliższej budowie lub zakładzie pracującym na potrzeby budownictwa. Umówcie się na zwiedzanie zakładu. Spotkanie ze specjalistami, młodymi pracownikami można także zorganizować na terenie własnej szkoły. Wtedy więcej Waszych kolegów dowie się, jak zdobyć zawód budowlanego i na czym konkretnie polega jego praca.

3. CENTRUM INFORMACJI...

... powinno znajdować się w dostępnym dla wszystkich miejscu. Znajdą się tu relacje z Waszych wycieczek, spotkań, informacje o adresach szkół budowlanych, warunkach przyjęcia do nich, programie nauki, zapotrzebowaniu regionu na fachowców itp. W najbliższym czasie ukażą się w „ŚM" specjalne plakaty, które tam trzeba umieścić.

W „centrum" powinna być także skrzynka pytań, na które odpowiedzą przedstawiciele szkół budowlanych i zakładów na spotkaniach w Waszej szkole.

4. PLAKAT O BUDOWNICTWIE

Zorganizujcie na terenie swojej szkoły konkurs plastyczny na plakat propagujący różne zawody budowlane, różne specjalizacje, pokazujący nowoczesność w budownictwie, maszyny, urządzenia, metody wznoszenia budynków. Najmniejszy format plakatu: 30 × 50 cm. Dla autorów najlepszych projektów (nie zapomnijcie każdego podpisać) przeznaczamy specjalne nagrody indywidualne.

5. TURNIEJ WIEDZY O BUDOWNICTWIE

20 marca br. (wtorek) w „ŚM" wydrukujemy 12-pytaniowy quiz o budownictwie. Przeprowadźcie go w swojej szkole. Wszystkie odpowiedzi z całej szkoły prześlijcie w jednej kopercie razem z meldunkiem końcowym do naszej redakcji. Oprócz tego na podstawie wiadomości uzyskanych w czasie wycieczek do szkół budowlanych, zakładów, z informatorów opracujcie zestaw pytań dotyczących techniki budowlanej, nowych obiektów wznoszonych w Waszej okolicy, szkół budowlanych, przebiegu nauki itp. Im więcej osób weźmie udział w turnieju, tym lepiej. Można najpierw przeprowadzić eliminacje w klasach, a później ogólnoszkolny finał.

6. KONKURS SPRAWNOŚCI BUDOWLANYCH

Opracujcie w drużynie plan zdobywania sprawności harcerskich związanych z budownictwem: mistrz budowlany, mistrz pędzla, stolarz, architekt. Zastanówcie się – jaką wiedzę i jakie umiejętności można zdobyć wykonując zadania konkursu KIERUNEK – BUDOWA. Dla wszystkich, którzy chcą zdobyć sprawności zorganizujcie „minikurs", w czasie którego zdobędą oni potrzebną wiedzę i umiejętności.

7. FINAŁ

To impreza, która powinna podsumować Wasze działania w czasie wykonywania zadań konkursu KIERUNEK – BUDOWA. Scenariusz opracujcie sami, pomyślcie o ciekawym programie artystycznym i atrakcjach. Najlepiej gdyby to była impreza dla wszystkich uczniów. Warto zaprosić na nią tych, z którymi spotykaliście się przy wykonywaniu zadań konkursowych.

Konkurs ma na celu popularyzację szkół budowlanych. Im więcej Waszych kolegów z klas siódmych i ósmych weźmie udział w imprezach, które będziecie organizować w czasie konkursu – tym macie większe szanse na zdobycie nagrody!

REDAKCYJNA POCZTA

Czy oni mają rację?

Uczęszczam do I klasy LO. Koledzy twierdzą, że jestem bardzo staroświecka. Kiedyś spodobałam się Piotrkowi. Zaproponował mi chodzenie, ale odmówiłam, bo palił papierosy. Powiedziałam mu to i usłyszałam, że ze swoim staroświeckim charakterem nigdy nie zdobędę chłopaka. Nie zależy mi na „zdobywaniu", ale jego odpowiedź uraziła mnie. Szybko zapomniałam o tym incydencie, jednak stał się on powodem wyśmiewania mnie przez kolegów Piotrka. Dziwi mnie taki sposób oceny ludzi i jest mi bardzo przykro. Chłopcom niepalącym życzę silnej woli na całe życie. Ale... czy ja rzeczywiście jestem staroświecka? Czy dziewczyna potępiająca palenie naprawdę nie znajdzie chłopaka?

Beata

Monika Leska, Reczków Nowy 3, 26-246 Skotniki zbiera znaczki, widokówki oraz zdjęcia aktorów. Interesuje się muzyką, gra na akordeonie. Pragnie nawiązać korespondencję z koleżankami i kolegami o podobnych zainteresowaniach.

Przykre docinki

Piszę w sprawie listu Janusza z 4-nru „Świata Młodych". Mam 15 lat i jestem w podobnej sytuacji jak Janusz. Wprawdzie nie noszę gorsetu, ale skrzywienie mojego kręgosłupa jest bardzo widoczne. Od pierwszej do piątej klasy nie miałam żadnych nieprzyjemności. Po ukończeniu klasy piątej zmuszona byłam przejść do innej szkoły, w której spotkałam się z wielką nieżyczliwością. Jestem osamotniona. Koledzy dokuczają mi, przezywają, wymyślają sobie różne żarty, których ja jestem powodem. Teraz staję przed wyborem ponadpodstawowej szkoły. Strach paraliżuje mnie zupełnie. Dlaczego zdrowa młodzież jest tak okrutna i nieżyczliwa dla kalek?

Maryla

Przyjaźń z przeszkodami

Mam koleżankę, którą moja mama uważa za nieodpowiednią dla mnie. Violetta ma 16 lat, jest starsza ode mnie o rok. Uczy się w szkole zawodowej, w innym mieście. Do domu przyjeżdża na soboty i niedziele. Nigdzie nie chodzi i przyjaźni się tylko ze mną. Wiem o tym, że ona pali papierosy. Ja nie palę i nie mam zamiaru zacząć. Nieraz Violetta przychodzi do mnie. Przy niej mama nic nie mówi. Przeżywam natomiast ciężkie chwile, gdy zostaję sama. – Czy nie masz innych koleżanek, musisz akurat z nią się przyjaźnić? – słyszę. Sąsiadki bezustannie buntują mamę, a mnie zaczynają psuć opinię. Co mam robić? Nie chcę stracić dobrej opinii, a jednocześnie nie potrafię urwać kontaktów z Violettą.

Zrozpaczona Ewa

OD REDAKCJI: Jeśli jesteś przekonana, że mama i sąsiadki nie mają racji, musisz im to udowodnić. W obronie swojej przyjaźni wykaż, że koleżanka nie ma na Ciebie ujemnego wpływu. Dobrze byłoby również, gdybyś nakłoniła Violettę, aby rzuciła palenie. (mm)

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

OLIMPIJCZYCY CZYLI... PAPIEREK I ZŁOTO

— Jakim cudem w ciągu niecałych dwóch miesięcy można było przygotować się aż do czterech olimpiad?! Jak wy to robicie?!

Nie rozumieją czemu się tak dziwię.

– To całkiem proste – tłumaczy Maciek. – Ja na przykład matematyką, fizyką i chemią zajmuję się już od paru lat. Chodzi mi oczywiście o to, co robię poza programem szkolnym. Teraz czytuję sobie podręczniki fizyki i chemii dla III i IV klasy liceum albo dla wyższych uczelni. Raz w tygodniu chodzę na specjalne kółko matematyczne do szkoły im. Gottwalda. No i naturalnie uczęszczam na pozalekcyjne kółka zainteresowań w naszej szkole: 2 godziny w tygodniu matematyczne, 2 godziny fizyczne i godzina – chemiczna. Zaczęło się to w drugiej klasie szkoły podstawowej, kiedy trafił mi do ręki pierwszy tom „Fizyki dla dociekliwych" Erica M. Rogersa. Wciągnęło mnie. Przeczytałem od deski do deski, potem zacząłem składać pieniądze i pomalutku skompletowałem cały 5-tomowy zbiór. To świetna rzecz!

– Wcale nie zacząłeś od fizyki – poprawia Michał – jeszcze przedtem była astronomia.

Michał rzuca kilka tytułów książek, które ostatnio czytał (też nie tylko dlatego, że miał brać udział w olimpiadach): „Chemia popularna", „Śladami Pitagorasa", „Rozrywki matematyczne".

Piotrek raz w tygodniu ma dodatkowe lekcje matematyki i raz chodzi z Maćkiem do Gottwalda. Dopiero tam można się podobno wyżyć w robieniu naprawdę ciekawych zadań.

Szymon jest najlepszym polonistą w klasie i nie tylko w klasie.

– A jakie wypracowania pisze! – zachwycają się chłopcy.

– Pani od polskiego powiedziała, że właściwie wcale nie muszę przygotowywać się do olimpiady. I miała rację, przeszedłem dalej – uśmiecha się Szymon.

– Tak więc – podsumowuje Michał – sposób, w jaki pracujemy nad tymi przedmiotami na co dzień pozwala nam na startowanie w olimpiadach bez specjalnych przygotowań. Podstawą zaś są kółka.

Przestaję się dziwić. Faktycznie, to całkiem proste.

– Dlaczego startujecie w olimpiadach? – zadaję pytanie, które, być może, powinno paść na początku rozmowy.

Chwila ciszy. Michał decyduje się pierwszy.

– Ja tam przyznaję, że jestem materialistą. Dla papierka.

– Co to znaczy?

– Jak się wygra olimpiadę, ma się przed sobą zielone światło – wyjaśniają. – Można wybrać szkołę średnią, jaka się tylko podoba, można wybrać profil klasy. Wszędzie człowieka przyjmą.

Duży wpływ na ich decyzję mają także nauczyciele, którym zależy na tym, żeby, przynajmniej w tym pierwszym – szkolnym etapie, startowało jak najwięcej uczniów. Wtedy więcej ich może przejść dalej. A mieć wśród wychowanków olimpijczyków – to przecież podnosi prestiż nauczyciela. Chłopcy doskonale to rozumieją. Trudno jednak pogodzić im się z faktem, że bywają nauczyciele, którzy potrafią powiedzieć: „Jeśli nie wystartujesz, nie masz co marzyć o czwórce" albo „Jeśli nie przejdziesz do drugiego etapu, pożegnaj się z piątką na koniec roku".

– Czy wy macie czas na cokolwiek innego poza nauką?

Teraz z kolei oni są zdumieni moim pytaniem. Co by to było za życie, gdyby poprzestali tylko na nauce!

– Mamy jeszcze coś, co zabiera nam przynajmniej 10 godzin tygodniowo, ale z czego byśmy za nic nie zrezygnowali. Sport!

Maciek, Michał i Szymon są w szkolnej drużynie piłki ręcznej. Nie byłoby w tym może nic specjalnie godnego uwagi, gdyby nie fakt, że ich drużyna zdobyła mistrzostwo dzielnicy w Warszawskiej Olimpiadzie Młodzieży i stała się reprezentacją Śródmieścia. Teraz intensywnie przygotowują się do rozgrywek o zdobycie mistrzostwa stolicy.

W tym momencie Piotrek stwierdza, że – przynajmniej jeśli o niego chodzi – jest jeszcze jeden ważny powód. Ten powód to chęć sprawdzenia samego siebie, swojej wiedzy, wyników wieloletniej przecież nauki.

– Wracając jednak do papierka, którego zdobycie wam przyświeca – jaką macie pewność, że właśnie wam uda się zdobyć I-sze i II-gie miejsce w stołecznym etapie, miejsca tak wysoko premiowane?

– Bez tej pewności nie byłoby co zaczynać – stwierdzają – jest kilka pierwszych i drugich miejsc ex aequo, wszystko zależy od liczby zdobytych punktów.

No więc wierzą, bo dlaczego mają nie wierzyć. No więc w takim razie mam przyjemność rozmawiać z czterema przyszłymi zwycięzcami olimpiad.

– Nie wystarczy powiedzieć: intensywnie, bo, podobnie jak kiedyś trenera Wagnera i jego siatkarzy, nas interesuje tylko złoto. Przedtem trenował nas nauczyciel wf, teraz mamy prawdziwego trenera. Nie daje nam odetchnąć, wyciska z nas siódme poty, ale wierzymy razem z nim, że to jedyna droga.

Tym razem chłopcy nie myślą o żadnych papierkach, o żadnych korzyściach. Trenują jak wariaci, czasem nawet w niedzielę, bo marzy im się ten złoty medal, a wraz z nim ogromna satysfakcja.

Czasu pozostaje niewiele. Musieli się dobrze zastanowić, z jakich zajęć na razie zrezygnować, a jakie kontynuować. Po „korektach" wszystkim pozostał dwa razy w tygodniu angielski, a Szymonowi, Maćkowi i Michałowi udało się jeszcze wygospodarować czas na pływalnię. Ale za to Szymon musiał pożegnać się z zajęciami plastycznymi, a Michał z fotografiką.

– Tylko Piotrek ma kupę czasu, bo nie chodzi na treningi.

– Jaką kupę czasu?! – Piotrek stanowczo nie zgadza się ze zdaniem kolegów. – Ja też musiałem rzucić elektronikę w Pałacu Młodzieży. Ale przecież muszę czasem podłubać sobie przy modelach, nie zapominać o tym, że istnieje kino, pomóc siostrze, albo pogapić się w telewizję.

– Telewizja – prycha Maciek – ja w ogóle nie wiem co to takiego.

– Ja też nie oglądam żadnych programów – popiera go Szymon. – I bez tego można żyć.

– Nie przesadzajcie – Michał hamuje kolegów – przecież „Sondę" albo „Bolka i Lolka" oglądacie zawsze.

Chłopcy zaczynają spoglądać na zegarki, wreszcie przepraszają mnie i zbierają się do wyjścia. Pogadaliby chętnie jeszcze trochę, ale nie mogą przecież spóźnić się na trening.

W tydzień po tej rozmowie spotykamy się u Maćka w nieco zmienionych okolicznościach. Maciek ma nogę w gipsie. Zdążył jeszcze wraz ze wszystkimi zaliczyć drugi, dzielnicowy etap olimpiady chemicznej, jest także pewien, że do matematycznej jakoś się wygrzebie, ale fizyczna już mu przez tę nogę przepadła. Najgorsze jednak jest to, że musi się pożegnać z treningami i z rozgrywkami. Koledzy starają się podnieść go na duchu, ale co tu dużo gadać – pech!

Został im jeszcze drugi etap olimpiady matematycznej. Nie wiedzą, czy w trzech pozostałych zdobyli wystarczającą liczbę punktów, aby przejść do eliminacji stołecznych. Na wyniki trzeba czekać bardzo długo. Ale i tak ten tydzień podobny będzie do poprzednich i do tych, które nadejdą: nauka, trening, kółka, pływalnia, angielski, trening...

EWA KOSIŃSKA

Fot. **Waldemar Giers**

Trochę (ew. odrobina) szaleństwa po najłatwiejszej nawet klasówce z matematyki (na pewno) nie zaszkodzi

ZACHOWAJ WYTNIJ

Po zebraniu 20 kuponów o różnych numerach, naklej je na kartę pocztową i przyślij do redakcji. Weźmiesz udział w losowaniu nagród!

Kupon konkursowy LOT-4

PWS–24 bis

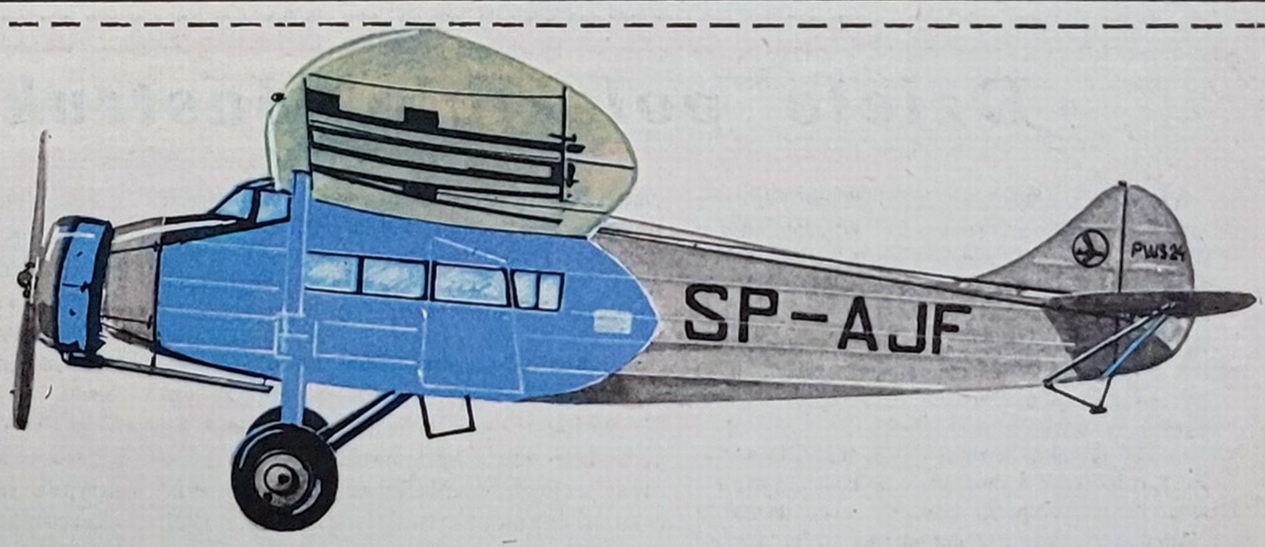

Samolot pasażerski PWS–24 powstał w następstwie konkursu ogłoszonego przez polskie Ministerstwo Komunikacji, a opracował go inż. Stanisław Cywiński. Prototyp zbudowany i zgłoszony przez Podlaską Wytwórnię Samolotów został oblatany w sierpniu 1931 r. Po dodatniej ocenie, jaką uzyskał (po próbnej eksploatacji w „LOCIE") zakwalifikowano go do produkcji seryjnej. „LOT" zamówił pierwszą partię 5 sztuk. W trakcie eksploatacji tej partii zamówiono następną, również 5 sztuk, ale w wersji już ulepszonej, oznaczonej PWS–24 (bis). Ogółem zbudowano 11 sztuk samolotów tego typu – na więcej nie było zapotrzebowania.

Charakterystyka: Jednosilnikowy, wolnonośny górnopłat, konstrukcji mieszanej, skrzydła drewniane kryte sklejką, kadłub o przekroju prostokątnym, spawany z rur stalowych, w przedniej części – do przegrody ogniowej – kryty blachą, dalej – płótnem. Podwozie stałe, trójgoleniowe. Usterzenie spawane z rur stalowych, kryte płótnem. Załoga – 2 osoby, pasażerowie – 4 osoby; silnik Skoda-Wright „Whirliwind" J-5 o mocy 220KM. W PWS–24 (bis) silnik Pratt-Whitney „Wasp-Junior" TB o mocy 400 KM. Rozp. 15,00 m, ciężar całk. 1867 KG (2000 KG), prędk. maks – 185 km/h (225 km/h).

GWIAZDOZBIÓR

Bywa w każdym domu

EDYTA WOJTCZAK

Dla ludzi siedzących przed maleńkim ekranem jest codziennym gościem, a często jedynym łącznikiem ze światem. Spiker telewizyjny. Jaki powinien być? Czy ma coś z aktora?

– My spikerzy – mówi Edyta Wojtczak – nie jesteśmy aktorami i nie musimy grać przed kamerą. A nawet tego nam robić nie wolno. Proszę sobie wyobrazić taką sytuację. Dwadzieścia lat temu znalazłam się w studiu po raz pierwszy. Gdybym starała się naśladować sposób bycia osoby, którą się wówczas fascynowałam, to po roku, zapatrzona już w kogoś innego, musiałabym zmienić gesty, sposób mówienia.

– A dziś rozmawiałabym nie z Edytą Wojtczak – popularną spikerką telewizyjną, a jedynie z bliżej nieokreśloną postacią stale się zmieniającą.

– Spiker to ktoś zwyczajny, wtrącony w świat zwykłych domów, zwykłych ludzi. I w tej zwyczajności byłabym zgrzytem nie do zniesienia. Czy lubi pani ludzi, z którymi styka się pani na co dzień pozujących na kogoś innego? Pozer to określenie raczej niepochlebne.

– Najtrudniejsze jest chyba to, że w godzinach pracy musi pani być wciąż uprzejma, spokojna, opanowana. A przecież zdarzają się nam wszystkim złe dni. Bywamy nieznośni, burkliwi.

– Po prostu wystarczy widzieć odrobinę dalej niż czubek własnego nosa. Wtedy opanowanie swoich niepięknych odruchów staje się nie tak znowu trudne. Umiem już panować nad swymi nastrojami.

Byłam np. nieśmiała i chyba taka zostałam do dziś. Nie muszę tłumaczyć jak bardzo mi to przeszkadzało. A teraz, po dwudziestu latach, pokonywanie tej niezbyt przydatnej w moim zawodzie cechy stało się nawykiem. Tylko dzięki starszym kolegom, a przede wszystkim Irenie Dziedzic, nie zakończyłam kariery spikerki już po pierwszej próbie. Zaczęło się od zdjęcia w „Przekroju". Potem dyżurowałam godzinami razem z Ireną Dziedzic, która mimo że zmęczona po własnej pracy, miała jeszcze siłę i chęć na oglądanie moich prób przed kamerą. Oczywiście „na pusto". Okazało się, że jestem sztywna. Że robię taką minę jakby mnie zęby bolały. I że głos mam za dziecinny. W domu więc huczałam basem. Moja rodzina, która do pierwszego wejścia na wizję o niczym nie wiedziała, patrzyła na mnie jak na chorą. „Przechodzisz mutację? Dziewczyno, co się z tobą dzieje?" Kiedy wybuchła bomba, mama kręciła nosem. Ale bardzo szybko zamiast utyskiwać, zaczęła oglądać i krytykować. „Jesteś za słodka, garbisz się" – mówiła. Słuchałam jej uwag, bo przecież na ekranie pokazywałam się ja, Edyta Wojtczak, a mama znała tę osobę najlepiej.

– Pani historia to także historia telewizji...

– Tak, to prawda. Te pierwsze lata, kiedy dyżurowaliśmy w pomieszczeniu o powierzchni niewiele ponad 2 metry kwadratowe, w tzw. kajucie, wspominam z rozrzewnieniem. Duszno, ciasno, i w dodatku wyjść nikt się nie odważa. Zdarzyło się bowiem kiedyś na ekranie, że widzowie zobaczyli tajemniczą postać przemykającą gdzieś na tle dekoracji. Nie było ogromnego studia, z garderobą i wygodnymi fotelami. Za to wszyscy się znaliśmy. Pamiętam moment, który dla mnie był „wpadką" nie do wybaczenia, a moich kolegów wprowadził w nastrój, delikatnie mówiąc, pogodny. Właśnie witałam się z telewidzami, kiedy zakręciło mi się w nosie tak, że nie mogłam powstrzymać kichnięcia.

Z trudem dokończyłam zdanie. A potem do zaryczanej dziewczyny podchodzili wszyscy i powstrzymując śmiech, życzliwy śmiech, uspokajali i przekonywali, że moje kichnięcie to prawie muzyka. Przybiegł nawet ówczesny dyrektor, który na cały głos krzyczał: „To dopiero był numer! Najlepszy, najprawdziwszy numer dnia".

– Co by pani radziła swoim wielbicielkom, gdyby miała pani odpowiadać na listy typu: – „marzę o zawodzie spikerki, jestem ładna, mam dobrą dykcję i chyba się do tego zawodu nadaję..."

– Myślę, że nie odradzałabym prób. Z jednym zastrzeżeniem. Uroda, owszem, przydaje się, ale nie wystarcza. Studia, znajomość języków obcych, refleks, opanowanie – to liczy się znacznie bardziej.

Rozmawiała: **MILENA HAYKOWSKA**

Fot. **Romuald Pieńkowski**

DOM MODY świata młodych

IDZIE WIOSNA

Teraz, to już nie ma wątpliwości – idzie wiosna. Choćby bowiem nie wiem jeszcze jak zawiało, śniegiem zasypało, mrozem ścisnęło, to i tak... tylko na chwilę. Bo słońce coraz goręcej świeci, wiosną w powietrzu pachnie. Jak nawet nie w tej chwili, to za tydzień, albo za dwa, za trzy... Bliżej w każdym razie niż dalej!

I bardzo dobrze. Nie wiem jak Wam, ale mnie zima już się znudziła. Ileż w końcu czasu można chodzić bez przerwy od pięt do nosa zakutanym?! Marzę o jakiejś zmianie, o tym, żeby nareszcie zrzucić z siebie te zimowe szaty, żeby można było sobie wreszcie pozwolić w ubiorze na różnorodność i fantazję! O, założyć np. na siebie wiosenny płaszcz! Chociażby któryś z tych na zdjęciach.

Są to takie płaszcze wiosenno-letnie. Gdy chłodniej, pod spód się wkłada gruby sweter (albo i dwa), na szyi mota wełniany szalik, na głowę wciska czapeczkę z dzianiny lub beret. To wiosną, bo zdradliwa bywa, szczególnie ta najwcześniejsza i mimo wszelkich pokus szaleć zbytnio z rozbieraniem się gwałtownym raczej nie należy. Latem natomiast zarzucić go można nawet na całkiem cienką sukienkę i też wszystko gra. Np. wieczorem, gdy robi się mniej ciepło.

Ich (tych płaszczy) wielostronność polega między innymi na tym, że bardzo są obszerne, więc masę różnych ciuchów można pod nie wepchnąć. Uszyte są z gładkich grubszych tkanin bawełnianych (np. popelina) lub elano-bawełnianych. Kolory najmodniejsze (ale mniej praktyczne, bo migiem się brudzą), to blady beż i blady popielaty, taki... prawie biały. Bywają (widać to na zdjęciach też) również i ciemniejsze, które może i mniej są stylowe, ale nie trzeba z nimi co trzy dni do pralni biegać. A to jest bardzo ważne! Fasony są sportowe – dużo różnych patek, pagonów, klamerek, karczków. Choć bardzo często nosi się je luźne, to powinny mieć pasek z tego samego materiału, którym czasami warto się w talii przewiązać. To zresztą już zależy od indywidualnych upodobań. Długość najmodniejsza – parę centymetrów więcej niż zwykle noszone sukienki.

Zrobiłam ostatnio mały rajd po sklepach i trochę takich właśnie płaszczy widziałam, ale... Ale warto wiedzieć, że były one już modne i kiedyś. Więc może mama taki miała i leży gdzieś w domu coś w tym stylu dawno zapomniane. Taki płaszcz nie musi być prosto spod igły. A że trochę za duży – toż to właśnie cały szyk!

RIUSZKA

Dzieło polskich konstruktorów

W związku z pomyślnym rozwojem komunikacji lotniczej w Polsce, przewidując zapotrzebowanie na dalsze samoloty pasażerskie, znany z oryginalnych rozwiązań konstruktor lotniczy mjr inż. Stefan Malinowski już na początku 1927 roku przystąpił do opracowania projektu samolotu pasażerskiego mającego zastąpić coraz bardziej zużywające się już samoloty typu Junkers F-13. Samolot ten, oznaczony jako Stemal – VII, podobnie jak F-13, miał mieć konstrukcję całkowicie metalową i miał być produkowany w warsztatach „Aerolotu". Gdy projekt samolotu był szczegółowo już rozpracowany, przy współpracy inżynierów: Stanisława Rogalskiego i Stanisława Wigury (później słynnych z RWD), zainteresowała się nimi Podlaska Wytwórnia Samolotów i w oparciu o subsydia LOPP podjęła się budowy prototypu. Jednak w trakcie wstępnych prac produkcyjnych okazało się, iż budowa samolotu o konstrukcji całkowicie metalowej w wytwórni produkującej dotąd samoloty drewniane będzie zbyt kosztowna, wobec tego z zamiaru zrezygnowano.

Ministerstwo Komunikacji planując utworzenie państwowych linii lotniczych, a za tym przewidując przyszłe zapotrzebowanie na samoloty oraz pragnąc zmobilizować przemysł krajowy, rozpisało konkursy: w 1927 roku na samolot 8–10 miejscowy oraz w 1928 roku na samolot 4-miejscowy – na następcę Junkersa F-13. Z samolotów 8–10-miejscowych zbudowano prototypy: jednosilnikowy PWS-20T oraz trójsilnikowy, całkowicie metalowej konstrukcji, PZL-4. Jednak żaden z nich nie dorównywał Fokkerom F-VII. Podobnie było w drugim konkursie. Tu zgłoszono prototypy z dwóch wytwórni: Podlaski PWS-21 (bis) oraz lubelski R-XI poddane próbnej eksploatacji przez „LOT" nie spełniły wymaganych warunków. Wobec tego Ministerstwo Komunikacji ogłosiło II rundę konkursu, którą wygrał PWS-24 będący ulepszeniem PWS-21 (bis). W rezultacie zamówiono 5 sztuk samolotów tego typu. Był to pierwszy seryjnie produkowany samolot pasażerski nie tylko polskiej produkcji ale również i całkowicie polskiej konstrukcji. Pierwszy z samolotów tego typu od maja 33 r. rozpoczął obsługiwanie trasy: Warszawa-Poznań. W 1935 roku rozpoczęło służbę 5 dalszych samolotów tego typu w wersji ulepszonej, PWS-24 (bis), z mocniejszymi silnikami.

SPUTNIKI RADIOAMATOROM

MOSKWA (PAP). Operatorzy najsłabszych nawet i najprostszych krótkofalówek amatorskich mogą nawiązać dalekosiężną łączność kosmiczną za pośrednictwem radzieckich satelitów „Radio 1" i „Radio 2". Oba satelity wystrzelone w październiku ubiegłego roku są przeznaczone do radiowej łączności amatorskiej. Za ich pośrednictwem nawiązano już tysiące połączeń. Najbardziej interesujący kontakt radiowy uzyskano między Moskwą i Londynem, nawiązano go między nadajnikami naziemnymi o mocy zaledwie 0,02 i 0,1 wata. Nawiązano też łączność między Moskwą i Władywostokiem oraz Omskiem i Pragą. Radioamatorzy brytyjscy regularnie łączą się ze swoimi kolegami z USA i Kanady. Również radioamatorzy z Australii i Nowej Zelandii korzystali z pośrednictwa sputników radzieckich przy nawiązaniu łączności. Dzięki kosmicznemu przekaźnikowi 40 radioamatorów może nawiązywać jednocześnie łączność dwustronną. Odległość między nadajnikami może osiągnąć 8–9 tys. km., zaś długość seansu – do 25 minut.

Centralny punkt sterowania sputnikami radioamatorskimi znajduje się w moskiewskim radiowym klubie sportowo-technicznym. Mieści się tam również laboratorium radioamatorskiej techniki kosmicznej. Właśnie współpracownicy tego laboratorium stworzyli pierwszy w ZSRR system sputnikowej łączności amatorskiej. (**mat**)

III TURNIEJ WARCABOWY

PUCHAR „ŚWIATA MŁODYCH" I GŁÓWNEJ KWATERY ZHP

Prowadzi Romuald Frey

Zadanie 9. Białe zaczynają i wygrywają przez zablokowanie damki przeciwnika. Należy wskazać jak do tego doszło. Za prawidłowe rozwiązanie – 3 punkty.

Ustawienie kamieni: Białe: 15, 37, 38, 40, 43, 44, 47, 50

Czarne: 12, 13, 14, 22, 23, 24, 25, 27

Zadanie 10. Białe zaczynają i wygrywają w trzecim posunięciu. Należy wskazać jak do tego doszło. Za prawidłowe rozwiązanie – 2 punkty.

Ustawienie kamieni: Białe: 11, 30, 33, 34, 39, 41, 48, 50

Czarne: 12, 22, 25, 32, 36, 44, 45

Rozwiązania należy przesyłać na adres redakcji w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru. Na kopercie lub kartce pocztowej zaznaczcie – „Turniej warcabowy".

Rozwiązanie zadania 1. 42–38! 37:26 2. 36–31 26:37 3. 38–32! 37:28 4. 39–33 28–39 5. 40–34! 39:19 6. 20–14! 9:20 7. 25:3

Zadania 2. 1. 42–38! 36:47 2. 37–31! 26:37 3. 38–32 47:40 4. 45:34 37:28 5. 39–33 28:30 6. 35:1

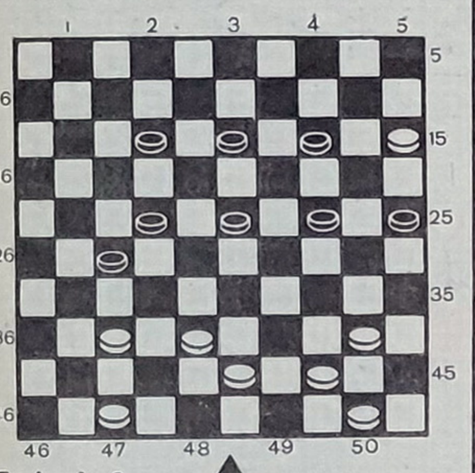

Zadanie 9

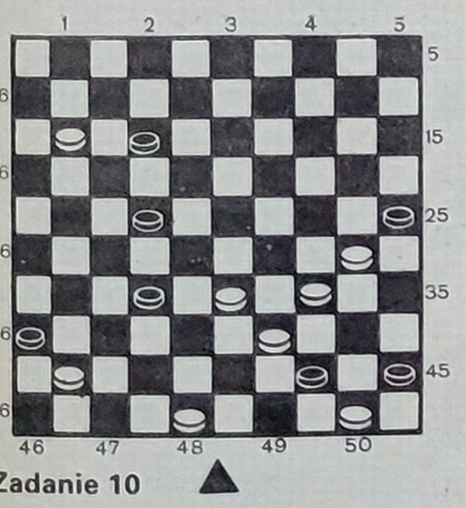

Zadanie 10

Jutro, 14 marca, przypada setna rocznica urodzin jednego z największych uczonych – Alberta Einsteina. Z tej okazji Zbigniew Szałankiewicz przedstawia uczonego takim jakim był na co dzień. Do jego teorii względności, która zrewolucjonizowała współczesną fizykę i astronomię, wrócimy w późniejszym terminie.

Od 25 lutego w kosmosie znajdują się dwaj nowi kosmonauci radzieccy: Władimir Lachow i Walery Riumin. Wystartowali oni na statku kosmicznym „Sojuz-32" i po połączeniu się z „Salutem-6" rozpoczęli przygotowania do nowej serii badań naukowych na orbicie. Nowych bohaterów kosmosu widzicie na zdjęciu, które zostało wykonane jeszcze na Ziemi.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

Kosmonauci Władimir Lachow (z lewej) i Walery Riumin

Fot. CAF-Interphoto

W stulecie urodzin

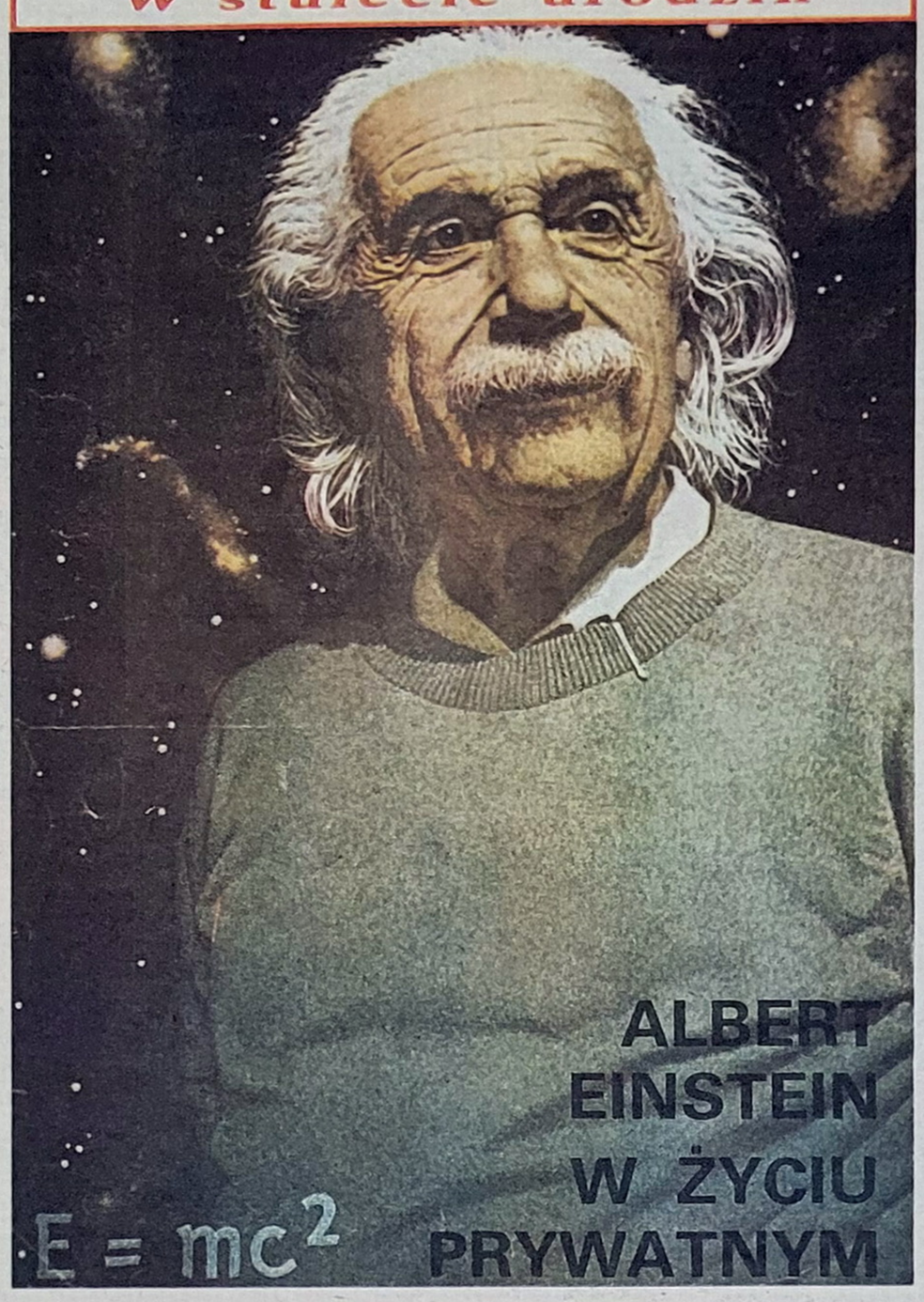

Dzień 14 marca 1879 roku zapisał się złotymi zgłoskami w historii nauki, głównie fizyki i astronomii. Oto urodził się człowiek, który zostanie obwołany GENIUSZEM ludzkości. Albert Einsten – największy z największych. Celem tego artykułu nie będzie jednak przedstawienie zasług, jakie ten znakomity uczony położył na polu nauki (bo czyż samo słowo – Einstein – nie kojarzy nam się z jego teorią względności i magicznym wzorem $E = mc^2$?), ale przedstawienie raczej go takim, jakim był na co dzień.

Podstawowym kluczem do zrozumienia roli Einsteina w nauce jest jego... samotność. Pod tym względem różni się on od wszystkich uczonych. Gdy w 1905 r. Einstein sformułował swą szczególną teorię względności, jego zjawisko było w świecie nauki nieznane. Nigdy nie studiował fizyki na żadnym uniwersytecie, nie był związany z żadną słynną szkołą fizyki. Pracował podówczas jako urzędnik w urzędzie patentowym. Kiedyś powiedział, że do trzydziestego roku życia nie widział prawdziwego fizyka teoretyka. Dla Einsteina izolacja była błogosławieństwem, bo zapobiegała wędrówce jego umysłu utartymi szlakami.

W ciągu kilku lat po sformułowaniu szczególnej teorii względności nie ukazała się chyba żadna praca, która dotyczyłaby problemu grawitacji. Einstein poświęcił temu zagadnieniu 10 lat życia, w okresie gdy nikt tym problemem nie był zainteresowany. Początkowy stosunek fizyków w lapidarny sposób można wyrazić słowami: „Co to kogo obchodzi"? Zastanawiać się nad zagadnieniem przez dziesięć lat bez żadnej zachęty ze strony fizyków – to dowód niezwykłej siły charakteru. Znacznie później, dopiero po sformułowaniu ogólnej teorii względności, nadszedł okres sławy i uznania; sława ta urosła do większych rozmiarów niż sława jakiegokolwiek innego uczonego.

Dziwny był spokój, z jakim Einstein przemawiał. Nie było w jego zachowaniu nic z niecierpliwości naukowca zakładającego, że problem jest równie zrozumiały dla słuchacza jak dla niego. Wielokrotnie powracał do tych samych objaśnień sposobów i metod rozumowania. Rozprawiał się spokojnie z zarzutami słuchaczy, dopóki nie zrozumieli o co chodzi. Wykłady były proste, głębokie i jasne. Wszystko, co powiedział, mogłoby być natychmiast wydrukowane w nie zmienionej postaci i każde zdanie miałoby sens doskonały. Pracował z równą intensywnością podczas choroby żony, jak i później, gdy umarła. Nie było siły, która by powstrzymała go od pracy. Einstein mógł mówić o polityce, słuchać próśb z właściwą sobie dobrocią, odpowiadać na pytania. Znał mnóstwo ludzi. Każdy pragnął zawrzeć z nim znajomość i pozyskać jego przyjaźń. Zawrzeć z nim znajomość było łatwo, ale naprawdę poznać go było trudno.

Uważał się za człowieka szczęśliwego. Wielokrotnie opowiadał, że chętnie pracowałby fizycznie, wykonując jakiś pożyteczny zawód, np. szewca, oczywiście nie przerywając pracy nad fizyką, ale nie chciałby dzięki fizyce zarabiać, ucząc jej na uniwersytetach. Fizyka to rzecz tak wielka i ważna, że nie wolno jej wymieniać na pieniądze. Chociaż tylko fizyka i prawa przyrody miały znaczenie w życiu Einsteina, nigdy nie odmawiał pomocy jeżeli uważał, że pomoc jest potrzebna. Pisał tysiące listów polecających, dawał rady setkom ludzi, godzinami rozmawiał z wariatem, którego rodzina napisała do uczonego, że jest on jedyną osobą, która może choremu pomóc. Był dobry, miły, uśmiechnięty, ale zawsze czekał, gdy zostanie sam i będzie mógł wrócić do pracy.

Trudno się oprzeć sławie, trudno, aby nie wywarła wpływu na człowieka. Nie zmieniła ona jednak w niczym Einsteina. Kiedyś powiedział: *„Zazdroszczę zwykłemu robotnikowi. Ma on swoje życie prywatne"*. Kiedy indziej: *„Wydaję się sobie oszustem z powodu tej wielkiej reklamy wokół mojej osoby. I to bez żadnej przyczyny"*. Jak to się dzieje, że sława przetrwała tak długo w świecie, który prawie codziennie strąca dawne idole? Wszystko cokolwiek Einstein zrobił, wszystko czego bronił, wszystkie jego wypowiedzi były zgodne z jego sumieniem. Jego głos zawsze bronił uciśnionych, jego podpis zawsze służył obronie postępu. Jego nazwisko stało się symbolem postępu ludzkości i myśli twórczej.

Wiele medali, dziesiątki dyplomów honorowych leżało bezładnie w skrzyni, w pokoju, gdzie sekretarka je przechowywała i zdarzało się, że Einstein nawet nie bardzo wiedział jak niektóre z nich wyglądają. Podobno bardziej podniecony był wówczas, gdy opowiadał o jakimś swoim nowym doświadczeniu, niż w momencie odbierania Nagrody Nobla.

Wielu studentów (i nie tylko) zadawało sobie pytanie, dlaczego Einstein robi to, czego normalni ludzie nie robią, a więc: nosi długie włosy, śmieszną wiatrówkę, nie nosi zaś ani skarpetek, ani szelek, ani kołnierzyka, ani krawata, ani paska? Odpowiedź była prosta – ograniczając swoje potrzeby do minimum, pragnął zachować swą wolność. Długie włosy usuwają konieczność częstego chodzenia do fryzjera. Jedna wiatrówka skórzana załatwia sprawę marynarki na wiele lat. Bez szelek, koszul nocnych, skarpetek można się obejść.

A oto opowieść o jeszcze jednej z cech charakteru Einsteina opowiedziana przez prof. Leopolda Inflelda polskiego naukowca, bliskiego współpracownika uczonego: *„Einstein, gdy raz zaabsorbowała go myśl napisania książki („Evolution of Physies") zapalił się do niej niesłychanie. Nigdy podczas pisania nie lekceważył jej sobie. Z każdym dniem praca nad książką wydawała mu się bardziej pociągająca. Często powtarzał: – „To był świetny pomysł". Dyskutowaliśmy, zmienialiśmy, rewidowaliśmy nasze poglądy, dopóki książka nie została ostatecznie ukończona. Nagle Einstein przestał się nią zupełnie interesować. Jego zapał trwał tak długo, jak długo trwała nasza praca... Kiedy ją wydano, przypuszczam, że nie wiedział nawet jak książka nasza wygląda..."*

18 kwietnia 1955 roku umarł Einstein. Zgasło wielkie światło. Umarł człowiek, o niewypowiedzianej dobroci, człowiek który był sumieniem świata.

Zbigniew Szałankiewicz
ul. Ratuszowa 4/4, 76-150 Darłowo

Chwycił Alberta za klapy kurtki, wyciągnął z auta i potrząsnąwszy nim z całej siły, porządnie go skrzyczał:

– Bądź mężczyzną, niech cię diabli wezmą! Łzy i skomlenie nikomu jeszcze nie pomogły...

– Sam bym chciał... – głos Alberta jeszcze drżał.

– Chcieć to za mało – przerwał mu brutalnie Peter – zresztą mów...

– Nie powinienem jechać z taką szybkością, wtedy nic by się nie stało. Gdybym wiedział...

– Gdyby moja ciotka miała kółka, to bym ją podarował zamiast „Wołgi" i jeździłbyś sobie jak u Pana Boga za pazuchą – zadrwił bezlitośnie Peter i nie tracąc czasu, bez owijania w bawełnę zapytał: – Chodzi ci o to, żeby w domu się nie wydało, tak?

– Gadanie! Oddałbym wszystko...

– Wszystkiego nie potrzebuję. Ale będziesz musiał robić to, co powiem – oznajmił sucho Peter.

Oto jest ocalenie! I zapewne cena, którą trzeba będzie zapłacić za ten tydzień z Ingridą. Nie miał wątpliwości, że dalszy ciąg tego będzie drogo kosztował. Zrozumiał, że na tym świecie nie ma nic za darmo. Niech się dzieje, co chce! Nic gorszego od tego wypadku nie może go już spotkać, a przy tym będzie jeszcze mógł zatrzymać przy sobie Ingę!...

– Dasz radę dojechać z powrotem do jej starych? – i nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: – Wehikuł pozostawimy u nich w szopie, weźmiemy ze sobą tablice rejestracyjne i pojedziemy ostatnim pociągiem. O której twoja matka wraca?

– Miała zamiar nocować w Rydze, ale rano na pewno przyjedzie przygotować mi śniadanie.

– Zdążymy.

– A jeżeli zajrzy do garażu?

– To zobaczy szarą „Wołgę", która tymczasem stoi sobie spokojniutko w lasku obok campingu „Wajwari". Nie będzie przecież sprawdzała numerów podwozia i silnika... Podczas drogi wszystko ci wytłumaczę. Ingrido, jedziemy!

... W cztery godziny później na ciemną, bezludną ulicę Koku wjechała szara „Wołga" z numerami samochodu ojca Alberta i zatrzymała się przed jego domem. Albert wysiadł, otworzył bramę, wprowadził auto do garażu i starannie zamknął drzwi.

Wkrótce w parterowych oknach zabłysło światło i po kilku minutach znów zgasło.

Sąsiedzi spali mocno. Nawet Czombe nie zaszczekał, zdążył się już przyzwyczaić do nocnych wypadów Alberta.

* * *

Kiedy pani Zandburg otworzyła na oścież okiennice, od razu zrozumiała, dlaczego dziś zaspała – poniedziałkowy ranek był mglisty i jesiennie chłodny. Deszcz ustał, ale powietrze nasiąkło wilgocią unoszącą się z mokrej łąki. Starszą panią łamało w kościach, ciśnienie podskoczyło, nieznośny ból rozsadzał tył głowy. Nie zamierzała jednak wracać do łóżka i zażywać lekarstwa. Należała do kategorii chorych, którzy wolą znosić swoje dolegliwości nie kładąc się. Byleby tylko znalazł się ktoś, kto cierpliwie i chętnie wysłucha jej skarg, pogada o objawach choroby, wtedy od razu czuła się lepiej.

Na szczęście za ogrodzeniem pojawiła się pani Kursis, która wyszła do sadu, żeby pozbierać opadłe w nocy jabłka. Renata Zandburg pośpieszyła jej na spotkanie.

– Na pani miejscu nie chciałabym mieć do czynienia z pośrednikami-spekulantami – podjęła rozmowę przez ogrodzenie. – W naszym wieku to żaden grzech poobracać się trochę między ludźmi, nawet w taką pogodę. Moje truskawki zawsze sama wożę na bazar.

– Posłuchaj, sąsiadko! – podchwyciła od razu Zelma Kursis. – Może by pani tutaj też spróbowała. Różnicą podzielilibyśmy się po połowie.

– Za żadne pieniądze! – zaoponowała z miejsca pani Zandburg. – W Windawie, to zupełnie co innego. Tam wszyscy mnie znają, wiedzą, że jestem zwykłą obywatelką. A tutaj ktoś mógłby pomyśleć, że te jabłka to tylko pretekst, a w rzeczywistości na polecenie zięcia śledzę ludzi...

– A ja się boję kradzieży – westchnęła tamta. – Jeżeli nawet nie ograbią mnie na bazarze, to w tym czasie, kiedy tam będę, mogą włamać się tutaj do domu.

– Przy takim sąsiedzie jak mój zięć nie musi pani trzymać nawet strachu na wróble... Wszystkie zamki może pani spokojnie oddać do lombardu...

– Dlaczego więc mając taki pinkertonowski węch przegapiła pani kradzież własnych rzeczy? – zapytała prostodusznie sąsiadka

– Jak to, pani rzeczywiście nic nie rozumie? – Renata Zandburg aż wspięła się na palce, żeby dodać wagi swoim słowom. – Podrzuciłam je na przynętę. A teraz wpadnie w sieć cała banda rabusiów, już prawie wszystkie nici mamy w ręku... Pst!! – położyła palec na ustach, spostrzegłszy zbliżającego się do ogrodowej furtki Kaszysa. – A tymczasem nikomu o tym ani słowa.

Cdn.

KUBUŚ i jego rodzinka

TEKST I RYSUNKI SZARLOTA PAWEL

19

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne

Tadeusz Baranowski

Opracowanie techniczne

Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Zam. 1383/G **C-114**

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-561 POCZTOWY

GUNARS CIRULIS

TŁUM Z ROSYJSKIEGO HENRYKA BRONIATOWSKA

NIE WIERZCIE W BOGIANY

20

Rozjarzył się czerwienią i znów przygasł płonący punkcik papierosa, którego palili wspólnie Ingrida i Albert. Chłopiec chciał właśnie zgasić w popielniczce niedopałek, kiedy z tyłu rozległ się niespodziewanie głos Petera:

– Bardziej w lewo! – jego okrzyk smagnął jak bicz. Nie było nawet czasu pomyśleć o co chodzi.

Albert zadrżał. Popiół posypał się na spódnicę Ingridy. Noga chłopca odruchowo nacisnęła pedał hamulca. Ale tego właśnie nie wolno było robić.

Na mokrym asfalcie samochód wpadł w poślizg i z krótkim, głuchawym zgrzytem wyrżnął w przydrożny słupek. W tej samej chwili zgasły światła.

Było cicho. Tylko krople deszczu bębniły monotonnie o dach „Wołgi".

– Odezwij się kto żyw! – próbował żartować Peter, kiedy wygramolił się z samochodu.

Z prawej strony otwarły się przednie drzwiczki i wyszła Ingrida – zdrowa i cała, szybko obiegła „Wołgę" dokoła i szarpnęła gwałtownie drzwiczki przy kierowcy.

– Bert, co ci jest? Odezwijże się! Powiedz choć słowo!

Nie doczekawszy się odpowiedzi, złapała go za ramię i prawie przemocą wyciągnęła z auta. Albert wyglądał żałośnie. Podobnie jak dwójka jego pasażerów wyszedł z katastrofy bez szwanku, tylko z drobnym zadrapaniem na czole, ale nerwy odmówiły mu posłuszeństwa i trząsł się jak w ataku histerii.

– W drobny mak! – wykrztusił wreszcie.

– Bzdura! – Peter zdążył już obejrzeć samochód. – Twój anioł stróż w porę podłożył skrzydełko, żeby osłabić uderzenie... Nawet chłodnica nie cieknie. Trzeba tylko kupić nowy zderzak, osłonę chłodnicy i reflektory, w paru miejscach wyklepać blachę i polakierować. Nie wiem, ile za to zedrą, ale dla dobrego fachowca to fiume. A teraz siadaj i sprawdź, czy silnik nie jest uszkodzony?

Silnik był w porządku, przednie koła działały sprawnie. Peter odzyskał dobry humor.

– Możesz spokojnie pruć przez całą Jurmalę i nikt nic nie zauważy. Masz więcej szczęścia niż rozumu.

Albert wciąż nie mógł przyjść do siebie.

– Nie, za nic – kręcił uparcie głową. – Nie odważę się pokazać w domu w takim stanie.

Peter wzruszył ramionami, próbował jednak przemówić chłopcu do rozsądku. Albert siedział zgnębiony za kierownicą; oklapł jak balon, z którego wypuszczono powietrze.

– Jeżeli nas tutaj przyłapią, stracisz prawo jazdy jak amen w pacierzu. Poczują alkohol, każą ci dmuchać w balonik i spiszą taki protokół, że główny inspektor ruchu drogowego będzie tylko rączki zacierał...

– Nie możemy tu zostać – poparła Petera Inga – Bert, proszę, nie wygłupiaj się, jedźmy!

Łatwo jej mówić, ale jak to zrobić? W jego otępiałej głowie tłukła się tylko jedna myśl: wszystko stracone, koniec, matka już nigdy nie da mu samochodu, nie będzie mógł wozić Ingridy i dziewczyna nie zechce się z nim spotykać... Wszystko tonęło w czarnej otchłani beznadziejności, bez najmniejszej szansy ratunku. Tylko cud mógł go ocalić przed ponurą pustką przyszłości, wybawić od płaczliwych wyrzutów matki i przygnębiających wspomnień. Tylko cud albo...

– Zostaw nas samych, Ingrido – zażądał oschle Peter i z miejsca przeciął próbę protestu dziewczyny. – Nie bój się, nie zrobię mu krzywdy. Odejdź!

Dokończenie na str. 7.